

Dariusz Pawlicki

Przeciw imperatywowi odbywania egzotycznych podróży

(1)

*Cóż z tego, że wielu rzeczy nie zobaczą.
Wystarczy, że one są.*

Zygmunt Kubiak

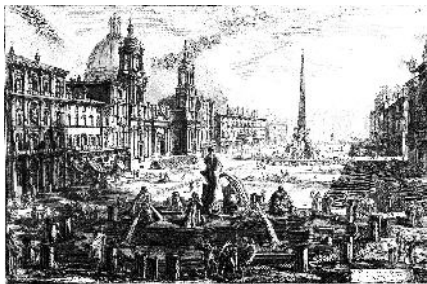
Nie przejawiam, i to choćby w minimalnym stopniu, ochoty do odbywania dalekich podróży, do miejsc nazywanych egzotycznymi. To znaczy do opuszczania obszaru kulturowego, do którego przynależę. W niniejszym eseju przedstawię racje, moje racje stojące za nieprzejawianiem takowych chęci. I uczynię to także dlatego, aby namówić innych do tego samego. A ponieważ jedną z cech eseju, którym niniejszy tekst ma być, jest ujęcie określonego tematu w sposób subiektywny, będę nawet bardzo subiektywny.

Żywię przekonanie, że podróżowanie na inne kontynenty, mam na myśli cele turystyczne, jest wyłącznie jeszcze jednym sposobem na wypełnienie wolnego czasu. Takim samym jak czytanie dla czytania, chodzenie do teatru dla chodzenia, oglądanie telewizji dla telewizji (w przeciwieństwie do czytania dla dowiedzenia się Czegoś; oglądnięcia sztuki teatralnej, aby Coś z Czymś skonfrontować...; włączenia telewizora dla konkretnego programu poświęconego np. robieniu bigosu). Z tym, że podróżowanie, w przeciwieństwie do pozostałych wymienionych sposobów zagospodarowania indywidualnego czasu, wymaga poświęcenia na ten cel, nie godzin, ale dni, tygodni... Wymaga także dysponowania zdecydowanie większymi środkami finansowymi. To znaczy takimi, aby gwarantowały wygodę. A ta jest niezwykle ważna. Bo czyż w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci, przynajmniej na Zachodzie, potrzeba życia w wygodzie, wręcz w komforcie, nie stała się tak silna, że zastąpiła pragnienie szczęścia? Moim zdaniem – zastąpiła. Nakłada się na to jeszcze potrzeba doznawania ustawicznych wrażeń. I to wciąż nowych. W to pragnienie wpisuje się, wręcz idealnie, imperatyw odbywania dalekich podróży. Najlepiej w takie miejsca, w jakie nie udał się jeszcze nikt z rodziny bądź pracy. Owe podróże, obok łączącego się z nimi prestiżu, dla wielu stanowią też rodzaj znieczulenia. A tym, co chcą znieczulić, są problemy. I nie muszą to być wyłącznie kłopoty zawodowe, rodzinne. Problemy mają bowiem to do siebie, że gdy przebywa się setki, tysiące kilometrów od miejsc, w których one „powstają”, zdają się być mniejszymi, mniej doskwierającymi. To znieczulenie potrwa jednak tylko tak długo, jak pozwoli na to stan

konta, Kodeks pracy i, ewentualna, dobra wola pracodawcy.

Ale obok wymienionych powyżej, powód odbywania owych podróży może być jeszcze jeden – nuda, zwykła nuda. Jeśli powodem wyjazdów w odległe zakątki Ziemi, jest jeden z tych, o których wspomniałem powyżej, niech chętni jadą gdziekolwiek, choćby na Wyspę Wielkanocną.

Podróż do innych miejsc może jednak służyć również pogłębieniu indywidualnej wiedzy na ich temat. I w tym momencie należy przypomnieć istniejący w Europie, przed epoką masowego przemieszczania się, której początki sięgają połowy XIX w., pewien obyczaj, wręcz swoistą instytucję. Nazywał się on z francuska *Grand Tour*. Władysław Kopaliński w jednej ze swych nieocenionych publikacji, a konkretnie w *Słowniku wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych**, podał następujące tłumaczenie tego terminu: Wielki Objazd bądź Wielka Przejazdka (pierwsze określenie jest, moim zdaniem, bliższe istoty zjawiska). A chodzi o rodzaj podróży trwającej rok-dwa lata, jaką odbywali młodzi europejscy arystokraci i intelektualiści. Ci pierwsi czynili to obowiązково w towarzystwie guwernera i pochodzącego z poznawanego kraju sługi-przewodnika. *Grand Tour* będący podróżą edukacyjną, miał na celu poszerzenie horyzontów przez uzupełnienie wiedzy o kulturze i cywilizacji, a także wyrobienie gustu artystycznego, nabranie dobrych manier. Niezmiernie ważną rolę odgrywały w owych podróżach listy polecające umożliwiający nawiązanie kontaktu z ważnymi, z różnych powodów, osobistościami.



Widok placu Navona w Rzymie, rycina Giovanniego Battisty Piranesiego, ok. 1750

Owa forma uzupełniania edukacji narodziła się w Anglii. A za jej ojca uważa się Thomasa Coryata (1577-1617), który w 1608 roku przemierzył pieszo wiele państw wło-

skich (także część Francji). Nie był wprawdzie pierwszym, który odbył Wielki Objazd, ale pierwszym, który w książce swego autorstwa *Coryat's Crudities hastily gobbled up in Five Months Travels in France, Italy, & c* (1611), uwzględnił elementy, które złożyły się następnie na powstanie pojęcia *Grand Tour*. Wymienił, chociażby, obiekty architektoniczne, dzieła sztuki, którym należy przyrzec się na trasie podróży. I choć wspomniął o Francji, to jednak szczególną uwagę poświęcił Włochom. Bo też one przyciągały najbardziej, przede wszystkim na początku. Zwłaszcza takie ośrodki miejskie jak Rzym, Florencja, Padwa, Lukka czy Wenecja. W II połowie XVII wieku zaczęto zwracać baczniejszą uwagę na Francję, ze szczególnym uwzględnieniem Paryża i Wersalu. Zaś w XVIII wieku obszar, którego dotyczył *Grand Tour*, wzbogacił się o kraje przodujące w rozwoju przemysłu i rolnictwa – Anglię i Holandię. Z kolei w II połowie XVIII wieku dużym zainteresowaniem zaczęły cieszyć się niektóre miasta niemieckie. A to ze względu na pełnioną rolę ośrodka władzy (Berlin, Wiedeń, Drezno), kultury (Weimar, Jena, Getynga, Heidelberg, Lipsk), albo też funkcję uzdrowiskową (Baden-Baden, Marienbad).

Wielki Objazd, jeśli chodzi o wizyty we Włoszech, a były one modne przez cały ten czas, miał ewidentny wpływ na rozwój kultury północnej Europy. Chociażby jeśli chodzi o muzykę. Do czego przyczynił się *Grand Tour* odbyty przez takich wybitnych kompozytorów pochodzących z Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego jak np. Heinrich Schütz, Johann Georg Pisendel, Georg Friedrich Händel, Wolfgang Amadeusz Mozart.

Wielki Objazd odbywał się w kręgu spraw, które młodemu Europejczykowi należącemu do tej czy innej warstwy uprzywilejowanej, były już nieco znane. Składały się nań bowiem nazwiska twórców, których utwory przeczytał bądź, w przypadku dzieł sztuki i budowli, o których słyszał np. na studiach. Znane były mu także podstawy wiedzy historycznej obejmującej zwłaszcza, co wówczas uważano za podstawę, starożytną Grecję i Rzym. Bogaty zestaw nazwisk, pojęć, nazw geograficznych, faktów historycznych, którymi operowali wykształceni ówczesni Europejczycy, był bowiem wspólny. Powszechna była też wśród nich, choć na różnym poziomie, znajomość dwóch języków: łacińskiego i francuskiego. Przynależność do tej kulturowej wspólnoty miała miejsce niezależnie od tego, którego państwa było się mieszkańcem.

(Dokończenie na stronie 4)